

# PROLOG

## Niewolnik koszmarów

Szepty narastały.

Ciche głosy zdawały się być zwielokrotnione i odbijały się w jego głowie z gwałtowną brutalnością. Padając na kolana, zakrył uszy, ale głosy nie zniknęły. Było to instynktowe zachowanie, mające chronić przed czymś nieznanym.

Nie wiedział, co mówiły te głosy. Było ich tak dużo, że były jedynie nieprzyjemnym bełkotem, dźwiękową torturą. Krzyknął, ale nie usłyszał samego siebie. Zrozpaczony, spróbował ponownie, lecz wtedy szepty zamieniły się w głośnie zawrozczenie. Machnął ręką, naiwnie licząc na to, że je rozgoni.

*Gdzie jestem...?*

Ta myśl przedarła się przez szepty i została jedyną zrozumiałą dla niego rzeczą. Resztę mógł opisać jedynie jako mieszaninę słów, zdań i pytań. Głosy sobie przerywały, a ich częstotliwość zaczęła go przytłaczać.

*Co to za miejsce...?*

*Czy to ważne?*

To pytanie było jak gwiazda na zachmurzonym niebie. Świadomość powoli do niego wracała. Chociaż szepty nie zniknęły, pojawiły się też jego własne myśli – silne i donośne jak dzwon.

*Uciekaj.*

To była jedna z pierwszych myśli i, jak sam uznał, całkiem dobry pomysł. Mógł spróbować umknąć przed szeptami, chociaż coś mówiło mu, że nie będzie to łatwe.

Strach był dodatkowym bodźcem. Adrenalina przeszła jego żyły, gdy usłyszał przerażający pisk. Otworzył szeroko oczy, bojąc się tego, co może zobaczyć. Widok, który ujrzał przed sobą był ironicznie przyjemny w porównaniu z tym, co właśnie słyszał. Znajdował się na ogromnej polanie, której koniec ginął wraz z początkiem ciemnego, atramentowego nieba.

*Byłem już tu, pomyślał.*

Setki gwiazd świeciło nad nim, chowając się co jakiś czas za ciemnymi chmurami. Trawa u jego bosych stóp poruszała się pod wpływem delikatnego wiatru. Pewnie usłyszałby jej cichy, kojący szum, gdyby nie te szepty.

Na chwilę zapomniał o tym wszystkim, delektując się pięknym widokiem. Na dosłownie sekundę głosi zamilkły, aby potem wrócić niczym strzał z armaty. Puścił się pędem przed siebie, nie wiedząc dokąd biegnie. Czuł jedynie, że chce się znaleźć daleko od nich.

Na początku to pomogło. Szepty zamilkły.

Jego głośny ryk triumfu rozdarł powietrze. Tak! Udało się. Słyszał siebie. W jego uszach zaszumił upragniony wiatr. Delikatny podmuch był teraz jak lekarstwo na palącą ranę.

Odnosił wrażenie, że tak mógł czuć się skazaniec, który właśnie uciekł ze swojego więzienia. Jeszcze nie do końca wolny, ale zachłyśnięty wizją świata bez krat. Bez otaczających go murów.

Euforia szybko się skończyła. Jej miejsce zastąpił strach, gdy z prawie czystego nieba, wystrzelił czarny piorun. Przeciął powietrze, uderzając jakieś dwadzieścia metrów od uciekającego, który z wrażenia potknął się i przewrócił, czując na ustach smak mokrej trawy i ziemi.

Rozejrzał się po okolicy, słysząc ciche dzwonięcie w uszach. Czuł jak włosy na jego ciele podnoszą się od wyładowań atmosferycznych. W miejscu, w którym błyskawica dotknęła ziemi pojawił się złoty stożek, a wokół niego wypalona trawa.

Dosłownie go zmroziło i dopiero zrozumiał co oznaczało powiedzenie „nie móc się ruszyć ze strachu”. Wpatrywał się tępo w to miejsce. Zmysły wróciły do niego wraz z impulsem do podjęcia działania, gdy kolejna błyskawica przecięła niebo.

Szepty nie wydawały się teraz niczym złym w porównaniu z wizją uderzenia przez piorun. Dźwignął się szybko na nogi, oddychając coraz szybciej. *Więźnia nie wypuści się tak łatwo*, pomyślał.

Ruszył dalej, gdy dotarł do niego swąd spalonej trawy. Biegł przed siebie, nie wiedząc gdzie i dokąd, ale czuł, że musi tak robić. Biec.

Usłyszał za sobą kolejny huk. Błyskawice zaczęły uderzać z większą częstotliwością. Zdusił w sobie chęć poddania się. Musiał uciekać. Bo co innego mu zostało?

Słyszał coraz głośniejsze uderzenia, coraz bardziej przerażające grzmoty. Ich siła popychała go do przodu, sprawiając, że czasami tracił równowagę. Krzyczał, przebijając nogami. Każdy huk za jego plecami był jak śmiertelna groźba.

– Proszę... nie! Już... dość! – załkał żałośnie. Nadzieja, którą miał kilka chwil temu, gdy szepty go zostawiły, zniknęła zastąpiona przez rozpacz trawiącą jego ciało strachem. Zdał sobie sprawę z tego w jak trudnej sytuacji się znalazł.

Na horyzoncie pojawiała się biała luna. Emanowała delikatnym, jasnym światłem.

*Znam to miejsce...* zaświtała mu w głowie myśl tak ulotna, że mógł równie dobrze o niej zapomnieć sekundę później. *Muszę się tam dostać...* Zdecydował gwałtownie.

Nie wiedział jak daleko znajduje się od źródła luny. Mogło to być kilka kilometrów, a chociaż był młodym człowiekiem, miał swoje ograniczenia. A przynajmniej tak sądził, gdy w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że wcale nie zmęczył się tak bardzo. Mięśnie nie bolały go tak jak powinny po takim zawziętym biegu. Nawet płuca nie piekły od nierównych dostaw powietrza.

Kolejny czarny piorun zleciał z nieba wprost na uciekającego, gdy dostrzegł na horyzoncie niewyraźne, ciemne kształty na tle luny. Huk ukrył skutecznie jego własny wrzask. Po ciele rozlało się dziwne mrowienie, które eksplodowało w okolicach lewej stopy. Wyjąc, przewrócił się na ziemię, a cały świat dookoła zawirował.

Polana zniknęła, burza ustała, szepty zdawały się być wspomnieniem.

Usiadł na łóżku, ale zaraz potem krzyknął i upadł na poduszkę. Syknął, gdy rozplątywał się ze swojej kołdry. Ból w lewej nodze zdawał się nie mieć końca. Rozchodzący się stamtąd ogień podróżował przez całe jego ciało.

Szamotanina trwała jeszcze chwilę, aż poczuł na sobie chłodne powietrze, wpadające do jego pokoju przez otwarte okno. Panowała tutaj przytłaczająca ciemność. Wymacał włącznik lampki nocnej, próbując uspokoić oddech. Światło zapiekło go w oczy i natychmiast zamknął powieki.

Znów koszmary. Znowu się czuł jakby przebiegł kilka kilometrów, chociaż nie pamiętał dlaczego. Płuca paliły go równie mocno co lewa noga. Jednak nie otwierał jeszcze oczu, choć po wewnętrznej stronie powiek skakały kolorowe plamki, przyprawiające go o mdłości.

Dopiero, gdy noga zapiekła tak mocno, że prawie spadł na podłogę, uchylił oczy, obserwując świat zza kurtyny długich rzęs.

Chciał krzyknąć, ale jedyne zassał powietrze i wstrzymał oddech.

Niedaleko kostki pojawiło się czarne znamię, przypominające pnącą się ku górze koronę огоłoconego z liści drzewa.

# 1.

## Szeptun

Na moje śniadanie składał się kubek ciepłej herbaty z kuszącym napisem *Taste the London*, który ciocia Iza przywiozła z jednej ze swoich wielu podróży. Zapowiadana pogoda sprawdzała się, bo od jakiegoś czasu padało, było zimno i nie napawała optymizmem. Deszcz, w zdecydowanie za dużych ilościach, leciał z nieba, zalewając ulice. Ludzie w samochodach mieli nieco lepiej, chociaż warunki drogowe do najprzyjemniejszych nie należały. Nie żebym zaliczał się do super kierowców. Nie byłem jeszcze nawet na kursie jazdy samochodowej, a zakładałem, że nawet gdybym miał prawko, najprawdopodobniej siedziałoby grzecznie w portfelu i czekało na dzień swojej chwały. Przecież potrzebowałbym samochodu, a na chwilę obecną znajdował się poza zasięgiem finansowym, a wątpiłem aby mama pożyczyła mi swojego srebrnego Golfa.

Krople deszczu ściagały się po szybie. Kiedyś z siostrą, gdy jeszcze byliśmy dziećmi, stawaliśmy przy oknie, wybieraliśmy własną kroplę, której kibicowaliśmy w tym wyścigu. Emocje kończyły się wraz okolicami parapetu, ale zaraz potem każde z nas znajdowało kolejnego uczestnika.

Uchyliłem okno, aby wpuścić do mojego dusznego pokoju nieco świeżego i chłodnego powietrza. Zachłysnąłem się czystością, niosącej na sobie smak pobliskiej łąki i lasu, na które wychodziło okno mojego pokoju. Gdybym spojrział w dół, dostrzegłbym sporych rozmiarów ogród, który znałem właściwie na pamięć, a który wraz z cieplejszymi dniami przynosił do mojego pokoju zapach ziół, kwiatów i ziemi. Wystarczyło się skupić, wziąć głębszy wdech, aby poczuć zbliżającą się wiosnę...

– Jan! – Usłyszałem zza drzwi dobrze znany mi głos, a chwilę później rozległo się głośnie pukanie, które na pewno rozeszło się po całym domku. – Spóznisz się do szkoły! Znowu! I słowo daję, tym razem rzucę na ciebie ten urok!

Westchnąłem ciężko. Ciotka Iza zawsze lubiła mnie straszyć urokami. Do dziesiątego roku życia nawet jej wierzyłem, ale potem okazało się, że jest ona tak dobra w rzucaniu uroków, jak ja w rozwiązywaniu zadań z matematyki. Potrafiła jedynie ściągać uroki, a ja potrafiłem jedynie ściągać na pracach klasowych.

– Już nie śpię! – odkrzyknąłem.

Prawdę mówiąc liczyłem na to, że w porannym chaosie panującym w tym domu, zostanę niezauważony. Kilka razy tak się zdarzyło, że pochłonięte swoimi obowiązkami panie traciły mnie ze oczu i dzięki temu, jeżeli odpowiednio cicho zaszyłem się w pokoju, pozostawałem zapomniany. Kolejną częścią planu było teatralne wejście do kuchni z zaspną miną, niechlujną fryzurą i stwierdzeniem: *Och nie, zaspalem...*

W całym tym przedstawianiu wyrażenie żalu szło mi najgorzej.

Opuściłem pokój, pod którym dalej czatowała moja ciocia. Jej farbowane, wściekle czerwone włosy nieco ją odmładzały, mimo iż była najstarszą z sióstr. Na imię miała Izabela. Dla przyjaciół Izka, a dla wrogów – Schizka, jak sama mówiła.

– Królewicz postanowił nas zaszczyścić swą obecnością? – zapytała złośliwie. Jej specjalnością były nieprzyjemności z samego rana. Zdarzało się, że wpadała do pokoju około szóstej nad ranem i wypytywała, czy wszystko w porządku, przeciągając przy tym sylaby. Odnosiłem wrażenie, że złośliwość zasilala jej uzdrowicielskie zdolności.

– Czemu nie przyniosłaś królewiczowi tostów? – Postanowiłem bawić w rozpoczętą przez nią grę. – Królewicz nie może funkcjonować bez tostów!

– Mogłeś je sobie zrobić, gdy byłeś godzinę temu w kuchni po herbatę – odpowiedziała, a słodki uśmiech rozlał się po jej twarzy. Ciocia często wiedziała co się dzieje w domu. – Twoja mama kazała mi cię dziś przypilnować.

– To znaczy, że będziesz ze mną w szkole...?

– Zabawne. Zasuważ do łazienki! Tylko szybko, inni też będą chcieli z niej skorzystać.

Bitwy o łazienkę były w tym domu swego rodzaju tradycją. Musiałem przyznać, że pomagało to w rozbudzeniu się. Ćwiczyło się wtedy szybkość, siłę i spryt, który pomagał w pokonaniu przeciwnika. Mimo że łazienki były dwie, to chętnych trzy razy więcej. Domowników była szóstka, w tym pięć kobiet.

Dotarłem do łazienki i wziąłem szybki prysznic. Nie mogłem sobie pozwolić na dłuższą kąpiel, bo już słyszałem zza drzwi niecierpliwe pomruki i jęki. Ubrałem się pośpieszenie.

– Proszę... – Ledwo przekręciłem zamek, do środka wpadła moja siostra. Wyrzuciła mnie z pomieszczenia, a drzwi zdążyły jeszcze mnie uderzyć w tyłek. Mamrocząc pod nosem coś, co na pewno nie było zaklęciami, wróciłem na chwilę do pokoju, aby zebrać wszystkie książki. Weisnąłem je niechlujnie do torby tak, że wystawał z niej podręcznik do geografii i zbiegłem na dół po kolorowych, drewnianych schodach. Trzeszczały pod każdym moim krokiem. Wytarte stopnie były śliskie i należało na nich uważać, bo podróż na dół mogła być o wiele mniej przyjemna.

W kuchni zastałem moją babcię Katję i kolejną ciotkę – Agnieszkę. Obie piły właśnie kawę z wyrazem bólu na twarzy, który miał manifestować ich tęsknotę za papierosem. Normalnie wychodziły na zewnątrz, ale z racji tego, że padało, musiały zostać w domu. A w środku nikt nie mógł palić. Taki rozkaz padł z ust mojej mamy, a wszyscy wiedzieli, że przeciwstawić się jej byłoby czystą głupotą.

– Dzień dobry – rzuciłem do kobiet, całując je w policzki. – Dwa słoneczka wyszły zza chmur, a ja myślałem, że ten dzień będzie ponury – zaświergotałem.

Ciotka pokręciła głową i podsunęła mi talerz kanapek.

– Masz. Ja i tak nie mogę zjeść, póki nie zapalę... – Ciocia Agnieszka naprawdę przeżywała wewnętrzne katusze. Poklepałem ją po ramieniu i zgarnąłem jedną, najbardziej apetycznie wyglądającą kanapkę. Myślałem, że to jedynie herbata będzie moim śniadaniem, udało mi się ugrać nieco więcej.

– Dziękuję.

– Agniesiu, może jednak zapalimy? – Babcia Katja wyglądała na zdesperowaną. Kręciła nerwowe młynki kciukami. Jej palce jak zwykle ozdobione były wieloma pierścieniami.

– Zwariowałaś? Twoja córka, a moja siostra ma węża psa myśliwskiego!

Babcia pokręciła głową i przeniosła spojrzenie na mnie. Jej oczy, jak zawsze, powiększone były za sprawą grubych, czerwonych okularów. Dzisiaj narzuciła na siebie puchaty, własnoręcznie robiony sweterek.

– Janeczku, nie spóźnisz się?

– Och, ciocia Iza zadbała o to, abym się nie spóźnił, prawie wylamując mi drzwi do pokoju.

– Słyszałam to! – Dało się słyszeć z piętra podniesiony głos ciotki. We trójkę zachichotaliśmy.

Deszcz za oknem przypomniał mi o ponurej wizji szkoły. Zerknąłem na zegarek. Według jego wskazówek, musiałem wychodzić za niecałe pięć minut. Przełknąłem kanapkę i prawie się nią zakrztusiłem.

– Będę się zbierał – oznajmiłem z bolącym gardłem.

– Nie zapomnij po szkole iść do zielarza – przypomniał surowy głos.

Do kuchni wkroczyła moja mama. Gdyby nie charakterystyczne, zielone oczy, pomyślałbym, że to ktoś inny. Zwykle chodziła w dużych swetrach i wytartych jeansach, ale teraz wyglądała inaczej. Jak bizneswoman, śpiesząca do sali konferencyjnej „B” na ważne, międzynarodowe spotkanie. Próbowwała ukryć to jak bardzo nieswojo się czuła, w spódnicy i

marynarce. Makijaż był mało profesjonalny i wyglądała teraz jak zmęczony klaun wracający z imprezy urodzinowej.

– Pamiętam, pamiętam. – Machnąłem ręką. – Chociaż nie rozumiem, czemu ty nie możesz iść...

– Widzisz jak wyglądam? – prychnęła, wskazując na siebie. – Nie pokażę się tak ludziom.

– A teraz gdzie idziesz? – zapytałem, marszcząc czoło.

Przybrała grobowy wyraz twarzy.

– Do urzędu skarbowego...

Parsknąłem śmiechem. Do kuchni wpadła moja siostra. Jej głowę otaczał misterny turban z ręcznika. Drugi z kolei oplatał jej ciało, przylegając do bladej skóry. Wpadła tylko po to, by zagrzać wodę w czajniku, wciskając mnie przy okazji w lodówkę. Zatrzymała się, gdy była już prawie przy wyjściu.

– Mama? – zdziwiła się.

– Tak, kochanie... – odpowiedziała zmęczonym tonem.

– Pozwoliłaś na sobie malować dzieciakom sąsiadów?

Elżbieta Głos, która uchodziła tutaj za królową, po raz pierwszy od dłuższego czasu wyglądała na niepewną.

– Aż tak źle?

– Chodź. – Maja złapała ją za rękę i pociągnęła w stronę kuchni. – Naprawię to jak tylko będę mogła. Tylko szybko, bo się spóźnię na zajęcia.

– Od kiedy jesteś taka pilna? Nigdy ci nie przeszkadzało nie chodzenie na pierwsze wykłady...

– Ale teraz na wykładach pojawia się *on* – rzuciłem od niechcenia. Maja posłała mi mordercze spojrzenie.

– Chłopak? – Moja mama wyglądała na nieco zdegustowaną.

– Gach? – wtrąciła ciocia Agnieszka z większym entuzjazmem.

– Kawaler? – Babcia także się ożywiła i chyba zapomniała o głodzie nikotynowym.

– Absztyfikant?! – krzyknęła ciocia Iza, dalej znajdując się na piętrze.

Maja zbyła wszystkie te pytania westchnięciem i opuściła kuchnię, ciągnąc za sobą mamę. Uśmiechnąłem się delikatnie i ruszyłem do przedpokoju.

– I na mnie pora – stwierdziłem.

Bycie jedynym chłopakiem w tym domu było naprawdę ciężkie, ale nie mogłem narzekać na brak atrakcji.

\*\*\*

Mógłbym powiedzieć, że nie przyjechał autobus. Albo że był wypadek. Albo że zasnęłam. Albo że przewróciłem się tak efektownie, że nie mogłem już wstać i ledwo doczłapałem się z powrotem do domu.

Naturalnie skończyło się na planach, bo już stałem pod zniszczonym znakiem przystanku autobusowego. Nade mną znajdował się szary parasol, do którego rączki przypięty był mały breloczek przedstawiający uśmiechniętego smoka. Dzieło mojej siostry.

Deszcz uderzał monotonnie o materiał, a ja zadrzałem. Było zimniej niż przypuszczałem. Na dodatek autobus się spóźniał, a z każdą kolejną minutą kielkowała we mnie nadzieja, że jednak nie przyjedzie.

Zdarzało się, że w cieplejsze dni siadałem na krawężniku przy drodze głównej, czekając na autobus. Można by uznać, że nazwa zobowiązuje ulicę do bycia bardzo ruchliwą. W tym wypadku przejeżdżał tutaj jeden samochód na pięć minut, a autobus – raz na godzinę. I tak już było odkąd pamiętałem.

Mieszkałem w Księżynie, tuż pod Białymstokiem. Od największego miasta w regionie dzieliło nas kilkanaście kilometrów. Rzadkość autobusów wynikała głównie z tej odległości. I był to powód dla którego już o szóstej czterdzieści osiem czekałem na transport do mojej szkoły.

Znajomy warkot rozdarł powietrze, co zwiastowało zbliżającą się maszynę. Autobus faktycznie nadjeżdżał z daleka, przedzierając się przez kilometrowy, dobrze widoczny, pas lasu. Biała maszyna podjechała pod przystanek, coś w niej zaklekotało niebezpiecznie, a potem triumfalnie wypuściła z siebie syk powietrza, celebrując dotarcie do celu.

Wsiadając do środka, rozpoznawałem niektóre twarze, codziennie tak samo zmęczone. Niektórzy spojrzeli na mnie z nieukrywaną niechęcią, inni z ciekawością, ale zdążyłem już przywyknąć do tego rodzaju powitania.

Z zamkniętymi oczami potrafiłem już odhaczać przystanki do mojej szkoły, przeważnie podróżując w fazie półsnu.

Wybiegłem z autobusu i szybko rozłożyłem parasol. Po tradycyjnym błędzeniu między ludźmi, którym zasada „przepuszcza się wysiadających, aby wsiadający mieli więcej miejsca” była obca. Deszcz dalej bębnił w mój parasol, gdy pokonywałem ostatnie metry dzielące mnie od szkoły.



Budynek należał do względnie nowych, a wszystko dzięki staraniom jednej z radnych miasta – Róży Lutnik, która wynegocjowała odpowiednie środki finansowe, wspomagając i rozbudowując szkołę, która była zarówno gimnazjum jak i liceum. Plotka głosiła, że radna Lutnik planuje w najbliższej przyszłości zostać dyrektorką, ale jej cele mało mnie obchodziły, bo to był mój ostatni rok liceum. Właściwie to byłem już na samym końcu – zostały raptem dwa miesiące do matury.

Szkoła nie była dla mnie czymś specjalnie przyjemnym. Nie dorównywałem ambicjom moim rówieśnikom, którzy z wielką dumą przypominali, że chodzą do jednej z najlepszych szkół w Białymstoku. Co bardziej poczuwający się do elitarności uczniowie nosili swetry z logiem szkoły – białą brzozę ze złotymi liśćmi. Nie należałem do tej grupy.

Poza tym fakt, że jestem potomkiem ludowej uzdrowicielki, wcale nie polepszał mojej reputacji zarówno wśród uczniów, jak i nauczycieli (plotki rozchodziły się bardzo szybko). Patrzyli na mnie dziwnie, zdając sobie sprawę z tego, że coś jest ze mną nie tak. Byłem w końcu synem tej „wiedźmy”, jak czasem uprzejmie raczyli nazywać moją mamę.

Nie gniewałem się o to, bo nie mylili się aż tak bardzo, choć odpowiedniejszym określeniem była szeptucha. A jako, jako jej syn, odziedziczyłem jej zdolności i zostałem szeptunem.

Uzdrowiałem. A przynajmniej taki czekał mnie los, bo jak na razie to tylko studiowałem. Jeszcze nigdy nikogo nie uzdrawiałem i nikt nigdy nie zgłosił się do mnie. Leczenie wybiegało poza moje obecne zdolności. Za to widziałem jak moja mama, ciotki, babka i siostra pomagały tym, którzy uwierzyli w ich moce.

Ja służyłem jako chłopiec od „podaj mi jajko czarnej kury” lub „zaparz ziółka”. Często to drugie okazywało się być jedynie pragnieniem, którejs z szeptuch, a nie częścią rytuału.

Nie mogłem powiedzieć, że byłem szczególnie nienawidzony, ale nie byłem też szczególnie kochany. Wiele osób po prostu mnie ignorowało, co było mi nawet na rękę. Niestety ta zasada nie dotyczyła nauczycieli. Już na pierwszej lekcji z wiedzy o społeczeństwie wywołano mnie do odpowiedzi.

\*\*\*

Osoby takie jak ja nie lubiły najbardziej wychowania fizycznego. Nie dlatego, że nie lubiliśmy sportów, ale jako samce beta, woleliśmy pozwolić się tłuc samcom alfa, którzy przeżywali grę, jakby to była ich przepustka do rajy. Niektórzy potrafili się na siebie

śmiertelnie obrazić o złe podanie piłki. W każdym razie to była ich walka. Sprytnie samce beta, takie jak ja, od początku istnienia ludzkości, zadowolaly się tym, co zostawily waleczne samce alfa. Dotyczyło to wojen, polityki, kobiet i ogólnie pojętej rywalizacji.

Jako przedstawiciel gatunku chłopaków, którzy woleli trzymać się na uboczu, nie cierpiałem tych zajęć, bo nie zależało mi na grze. Powiedzmy, że byłem całkiem wysportowany, bo od jakiegoś czasu towarzyszyłem Mai podczas jej wieczornych biegów. W międzyczasie uczyła mnie też o roślinach, które mijaliśmy. Na w-fie dowiedzieć się mogłem jedynie jak smakuje ból, gdy wpadało się na większego osiłka. Ach, no i dowiedziałem się, że jeżeli się odpowiednio ułoży kij od unihokeja to można niechcący sprawić, że chłopak wyższy ode mnie o ponad głowę, przewróci się z hukiem.

Na domiar złego w roku maturalnym mieliśmy zajęcia łączone z inną klasą o profilu sportowym. Uczęszczali tam wysocy i silni chłopacy, których ambicjami były akademie wychowania fizycznego.

Czyściłem właśnie parkiet wielką ścierą (jeden z przykrych obowiązków szkolnego dziwaka), gdy na hali pojawiła się chluba i chwała naszej szkolnej drużyny koszykarskiej. To był idealny przykład samca alfa, który zawsze dostaje to, czego chce.

Już przy naszym pierwszym spotkaniu zdążyłem podsumować w myślach, dlaczego to właśnie on będzie miał w życiu łatwiej. Przede wszystkim dlatego, że różniliśmy się wyglądem. Byłem niski i szczupły. Bładość mojej cery zlewała się z jasnymi włosami. Siostra zwykła żartować, że dotknęło je słońce. Wyglądałem jak urocza zjawa, która przechadza się z kąta w kąt. Jedynie moje błękitno-zielone tęczęwki były u mnie niezwykle i onieśmiały ludzi, przez co zdarzało się, że nie chcieli mi patrzeć prosto w oczy.

Kacper, szkolny idol, zaliczał się do facetów z krwi i kości, którzy w wieku osiemnastu lat wyglądali jak po podwójnym dojrzewaniu. Wzrostem sięgał blisko dwóch metrów, a atletyczna budowa ciała zdawała się dobrze prezentować zarówno w szkolnych ciuchach, jak i w stroju sportowym. W skupianiu na sobie uwagi pomagały mu bujne, brązowe włosy i czekoladowe oczy oraz niedbały zarost, podczas gdy ja wyglądałem jak blada piłka z włoskami.

Kacper słynął nie tylko z fenomenalnego talentu koszykarskiego, ale i z wyjątkowej inteligencji, bystrego umysłu, ciętego żartu oraz bogatych rodziców.

Zdałem sobie sprawę, że się na niego gapię i odwróciłem wzrok. Coś mi u niego nie pasowało, ale nie wiedziałem co. Z odpowiedzią pośpieszył mi trener, który przy Kacprze wyglądał jak ziemniak na nogach przy posągu greckiego boga.

– Co ci się stało w nogę? – Trener często pluł jak mówił, ale sobie z tego nie zdawał sprawy. Dlatego wszyscy stawali dobre dwa metry od niego.

– Nic takiego – odpowiedział z uśmiechem, a ja zerknąłem na jego nogi. Właśnie to mi nie pasowało. Lewą nogę na wysokości kostki oplatał ciasny bandaż. – Zadrapałem się.

Trener przyjrzał się mu uważniej, a potem przerzucił wzrok na mnie.

– Zasuważ z tą szczotą, młody!

Skinąłem pośpiesznie głową.

Kacper dołączył do reszty na boisku i zaczęło się dzielenie na drużyny. Niestety nie trafiłem do tej samej, co najlepszy zawodnik w szkole. Lubiłem być w jego grupie. Nie dlatego, że inspirował do gry, ale dlatego, że on wszystko załatwiał, a ja jedynie musiałem od czasu do czasu podać piłkę. Nawet nie miałem zamiaru się starać...

Dzisiaj jednak musiałem udawać, że COŚ robię, dlatego stałem pod koszem i próbowałem powstrzymać zawodników przed wrzutami do kosza. Ale gdy Kacper prawie mnie przeskakiwał, nawet nie miałem szans, aby cokolwiek zdziałać. Mogłem go pocałować w podeszwę drogiego buta.

Zostałem skrzyuczany przez trenera, bo znowu przepuściłem przeciwnika, a drużyna posłała mi ponure spojrzenia. Zniosłem je i już chciałem się wycofać spod kosza, gdy usłyszałem krzyk.

Jak zawsze w takim przypadkach, następuje chwila, w której nikt nie wie o co chodzi, rozglądając się po pomieszczeniu. Następnie doszukuje się źródła dźwięku, aż w końcu się go odnajduje. I dopiero wtedy wykonuje się pierwsze kroki.

Musiałem z dumą przyznać, że chociaż moje ciało nie było szczególne, to umysł potrafił działać szybko. Dlatego jako pierwszy znalazłem się przy Kacprze, który trzymał się za zabandażowaną kostkę i wił się pod koszem. Ból malował się na jego twarzy, która teraz była czerwona. Krzyk był tak rozdzierający, że zwałił kilka zaciekawionych osób do sali. Głównie dziewczyn, które często obserwowały naszą grę lub czały się na Kacpra, aby na niego niby przypadkiem wpaść.

– Co się stało? – zapytałem szybko. Wylądował po wsadzie i coś sobie przestawił, tak wyglądała moja pierwsza diagnoza. Dotarł do nas trener i reszta chłopaków. Zostałem odsunięty na bok, chociaż mogliby skorzystać z mojej obecności. Nie lubiłem patrzeć, gdy ktoś cierpiał.

– Kacper, co się dzieje?! – Trener próbował siłą oderwać jego dłonie od kostki, aby móc przyrzeć się potencjalnej ranie. Jednak chłopak uparcie ścisnął to miejsce, jakby coś mu tam wypalało skórę. W końcu, połuźnił uścisk, oddychając ciężko. Przestał się wierzcąc i

wyglądało na to, że nagły atak bólu zniknął tak szybko jak się pojawił. – Co sobie zrobiłeś w nogę?

– Nie wiem – wysapał z trudem Kacper, szczerze poruszony tym co się wydarzyło.

Chociaż po chwili zabrano go do pielęgniarki, udało mi się dostrzec coś pod rozwiniętym bandażem.

Czarny zygzak.

\*\*\*

By dotrzeć do naszego zaufanego zielarza musiałem wysiąść na pierwszym przystanku w Księżynie. Następnie na pieszo pokonywałem długą i wąską ulicę, na której ledwo mieścił się jeden samochód.

W trakcie mojego samotnego marszu, myślałem o tym co wydarzyło się na ostatniej lekcji i doszedłem do następujących wniosków.

Pierwszy – Kacper zrobił sobie tatuaż, w bardzo oryginalnym miejscu i zignorował ostrzeżenie, że miejsce to może boleć zaraz po wykonaniu zabiegu. Byłem w stanie w to uwierzyć, bo widziałem ból na twarzy siostry, gdy ona sobie zrobiła tatuaż nad prawym pośladkiem. Naturalnie, mama nie wiedziała. I nie miała się dowiedzieć.

Drugi wniosek prezentował się następująco – Kacper skaził się czarną magią, praktykując jakieś dziwne obrzędy, które teraz były w modzie wśród młodzieży mającej za dużo czasu wolnego. Naprawdę podziwiałem niektóre dzieciaki, że bez jakiegokolwiek wiedzy szły wywoływać duchy. Nigdy sam bym tego nie zrobił, a ostatnio do moich uszu na szkolnych korytarzach docierały tego typu pogłoski.

Rozłożyłem parasol, gdy deszcz ponownie zaczął padać, a jego krople wygrywały teraz nieznaną mi melodię. Odkąd pamiętałem, lubiłem taką pogodę. Słońce nie przedzierało się przez srebrną ścianę chmur, pozostawiając wieś we wrażeniu, jakby cały czas był ranek.

Omijałem kałuże długimi skokami, aż dotarłem do starego, podłużnego budynku, otoczonego starą siatką. Przeszedłem pewnie przez otwartą bramę, która znajdowała się pod pożerany przez rdzę szyldem „Zakład Samochodowy Niezłe Ziółko”. Ominąłem coś co wyglądało na świeżą plamę oleju, przeszedłem obok starych opon, niechlujnie rzuconych na asfalt przed zakładem i dotarłem do otwartych drzwi garażowych, zza których dobiegł mnie głośny dźwięk jakiegoś urządzenia, które chyba miało sporo wspólnego z wiertarką.

W powietrzu unosił się zapach smaru i przypalonego metalu. W środku znajdowało się kilka samochodów, różnej marki. Wyłowiłem wzrokiem znanego mi właściciela zakładu i ruszyłem w jego kierunku.

Jak tylko mnie zauważył oderwał się od swojej pracy. Zdjął rękawicę i podał mi ubrudzoną czymś czarnym dłoń. Uśmiechnął się do mnie serdecznie, prawie miażdżąc mi rękę.

– Jan! – mówił jak zwykle z chrypką. Podniósł głos, aby przekrzyczeć maszynierię. – Spodziewałem się twojej mamy...

– Niestety dzisiaj walczy z urzędem skarbowym! – odpowiedziałem głośno, wrzuszając bezradnie ramionami. – Przysłała mnie. Mam listę...!

– Oczywiście. – Skinął głową, a następnie zwrócił się do swoich pracowników. – Kontynuujcie, chłopaki! Zaraz wrócę!

– Ta jest! – odpowiedział ktoś.

Pan Ziółko poprowadził mnie na tył zakładu, przechodząc przy okazji przez biuro, w którym panował absolutny nieporządek. Wszystkie biurka i krzesła były brudne. Papiery porozrzucane, plamy na ścianach i oknach tkwiły tu odkąd pamiętam i wszędzie wały się narzędzia i śruby w różnych rozmiarach. Jedynym zadbanym i pielęgnowanym obiektem zdawał się być kalendarz przedstawiający półnągą modelkę, która najwidoczniej nie знаła innego sposobu podnoszenia z podłogi śrubokrętu jak wyzywające wypięcie się, w obcisłych, jeansowych spodenkach.

Tuż za zakładem znajdował się kolejny budynek, nieco mniejszy ale równie zapuszczony. Przebiegliśmy szybko odległość między nimi, chroniąc się przed deszczem.

– To pokaż czego potrzebujecie – poprosił pan Ziółko, gdy weszliśmy do środka. Wręczyłem mu listę. – Ach, lawenda lekarska. Naturalnie, naturalnie... Nanercz? Cholerka, gdzie ja go posiałem...?

W trakcie, gdy pan Ziółko chodził od półki do półki i przeszukiwał swoje zapasy ja usiadłem na jednym ze stołków. Lubiłem to miejsce, chociaż często od zapachu ziół kręciło mi się tu w nosie. Niewiele się tu zmieniło, widać było, że zielarz kładzie większy nacisk na czystość w tym miejscu.

Na stole obok mnie leżało kilka recept i przyrządów do odpowiedniego przygotowywania mikstur. Natomiast pod sufitem wisiało wiele rodzajów ziół, które się suszyły. Próbowałem odgadnąć ich wszystkie nazwy, ale nie było to łatwe, gdy zielarz miał tutaj dużo egzotycznych egzemplarzy.

– Czerwona koniczyna, co? Widać, że się zbliża okres ukąszeń.

– Jak zawsze wiosną – przyznałem. – Ale babcia potrzebuje też na syrop. Niektórzy nienajlepiej znoszą przesilenia.

– Prawda, chłopcze, prawda. – Kiwał gorliwie głową. – To chyba wszystko. – Jeszcze raz spojrział na listę. – Tak, to wszystko.

Podał mi ładnie zapakowane zioła, każde w odpowiednią papierową torebkę. Podziękowałem serdecznie i wróciliśmy do zakładu, po drodze zahaczając o uprzejmą wymianę zdań, obejmującą moją maturę i stan zdrowia mojej rodziny. Zapewniłem, że wszyscy jeszcze dziś rano czuli się wyśmienicie.

– Pozdrów swoją mamę ode mnie – powiedział pan Ziółko jeszcze raz gniotąc mi rękę na pożegnanie. Chyba nie zdawał sobie sprawy ze swojej siły.

– Pozdrowię – zapewniłem. Skinąłem głową do reszty pracowników i wyszedłem z zakładu samochodowego z przyjemnością opuszczając zapach spalonego metalu.

Omijałem kałuże, idąc wzdłuż ulicy, która prowadziła przez duży park. Chociaż ja zwykłem to nazywać lasem, bo właśnie tutaj spędzałem dzieciństwo ze swoją siostrą, bawiąc się w odkrywców i podróżników. Zdarzyło nam się tutaj pokonywać amazońską dżunglę, wyspę dinozaurów oraz zapuszczać się w niezbadane, indyjskie głusze. Rysowaliśmy mapy, pakowaliśmy potrzebne rzeczy do plecaka, robiliśmy sobie kanapki i wyruszyliśmy w podróż, która trwała od południa do wieczora.

Pokonywaliśmy strumień przechodząc po przewróconym konarze, którego teraz już nie było. Zastąpił go nowo wybudowany nowy mostek, dzięki któremu przechodziło się na drugą stronę w łatwiejszy sposób, ale bez dreszczyku emocji. Ten park był inny niż za moich młodszych lat. Wycięto większość krzaków, pobudowano ładne dróżki. Piętno nowoczesności dopadło nawet tę część mojego dzieciństwa. Chociaż wizualnie wszystko było ładne, to jednak cząstka mnie tęskniła za grubym sznurem z oponą, na którym się huštało lub czekało, aż uratuje ciebie siostra, bo wisiało się nad wrzącą lawą!

Pochłonięty myślami prawie zapomniałem, że pada. Przypomnił mi o tym silniejszy podmuch wiatru, który próbował wyrwać mi parasol, a tym samym odsłonił mnie przed atakiem deszczu. Chociaż byłem odkryty jedynie na chwilę, ulewa zdążyła mnie zmoczyć. Krople ciekły po mojej twarzy i kapały z włosów.

– Cholerka – sapnąłem, gdy kolejny podmuch wiatru ponowił próbę pozbawienia mnie parasola. Takiej pogody się dziś nie spodziewałem. Z nieba lunęło jak z cebra. Zrobiłem jeszcze kilka kroków i uznałem, że moje próby dotarcia do domu mogą okazać się daremne. Dlatego, gdy kątem oka dostrzegłem białą altankę, pognałem w jej kierunku, rzucając się na nią niczym gracz baseballu na ostatnią bazę.

Szczerze nienawidziłem tego uczucia, gdy zimny i mokry materiał przyklejał się do ciała. Odgarnąłem włosy z czoła, a następnie złożyłem parasol. Wyglądałem, jakby ktoś wylał na mnie wiadro wody. Ściana deszczu po prostu nie ustępowała. To było niecodzienne.

Porywisty wiatr sprawiał, że woda wlewała się do altanki, więc nie mogłem stać przy jej krawędzi. Niecierpliwie czekałem, aż ulewa ustąpi. Dopiero po chwili usłyszałem szybkie kroki.

Na początku miałem wrażenie, jakby wszędzie była mgła, dlatego postać idąca w moim kierunku była nieco zamazana. Współczułem nieszczęśliwcowi, bo zasłaniał się jedynie swoją cienką kurtką. Nawet tutaj usłyszałem jego przekleństwa. Narastały z każdym rozchlapującym wodę krokiem. W końcu nieznajomy dotarł pod daszek altanki i ze złością ściągnął kurtkę.

Szczerze powiedziawszy, cieszyłem się, że moje pierwsze spotkanie z nieznajomym odbyło się na otwartej przestrzeni w deszczu, a nie w ciemnej alejce. Chłopak, o groźnie wyglądającej twarzy był wysoki. Miał krótko ścięte jak u wojskowego kadeta. Spod czarnego t-shirtu wysuwały się ciemnoszare tatuaże. Przemoczone jeansy przylegały do jego nóg. Przetarł oczy i spojrzał na mnie. Zielone tęczęwki przyglądały się mi przez chwilę. Zdawały się być najspokojniejszą częścią jego ciała. Reszta mówiła, że ta osoba jest niebezpieczna i nie bez powodu naznaczyła się ostrzegawczymi znakami. Zgolone włosy, tatuaże... Tak jak zwierzęta, które chcą, aby inne drapieżniki dały im spokój.

– Co się tak patrzysz? – warknął.

– Przepraszam. Po prostu widzę, że zmokłeś. Pada? – zapytałem. Jedno jego spojrzenie kazało mi zamknąć usta.

– Cholerna pogoda – mruknął, ozdabiając to stwierdzenie w kilka innych przekleństw.

– Tak, też się zdziwiłem – przyznałem.

– Nie mówiłem do ciebie.

– Och, przepraszam. Pewnie do tej niezliczonej rzeszy ludzi dookoła – odpowiedziałem, rozglądając się. Otaczały nas jedynie krople deszczu i drzewa.

Podaję, że nie byłbym taki wyszczekany w ciemnej alejce, ale tutaj mogłem sobie pozwolić na odrobinę żartu. Niestety, mój towarzysz tego nie podzielał, bo podszedł do mnie i złapał mnie za kołnierz.

Nie sądziłem, że kiedykolwiek będzie mi dane latać, ale tak właśnie się poczułem, gdy silna ręka poderwała mnie z drewnianego podestu. Zamachałem nogami i znalazłem się na równej wysokości z nieznajomym. Zaskoczyła mnie jego siła, parasol wypadł mi z ręki, z trzaskiem uderzając o ziemię.

– Nie mam ochoty na żarty, rozumiesz? – oznajmił głośno, przeciągając samogłoski. Pokiwałem gorliwie głową. Puścił mnie i wylądowałem na nogach, cofając się. Wpadłem na zimne barierki.

– Spokojnie, tylko żartowałem – oznajmiłem, po czym zmarszczyłem czoło. Właśnie mi powiedział, że nie ma na nie ochoty. – Przepraszam.

Zarzucił mokrą kurtkę na ramię i stanął bezradnie pośrodku altany. Ja poprawiłem ubrania i podniosłem parasol. Chodnik obok zamienił się w koryto rzeki, zgarniając liście i śmieci.

Nieznajomy sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej paczkę papierosów. A raczej żalosny ochłap, który kiedyś nią był, bo zmoczone pudełko wypłuło z siebie odrobinę wody. Patrzył na nie, nie mogąc uwierzyć w swoje nieszczęście. W akcie nadziei wpakował papierosa do ust i spróbował zapalić. Jednak nawet najszczersze chęci zapalniczki nic nie dały. Ze złością odrzucił przemoczony tytoń za barierki.

Powoli sięgnąłem do swojej torby i wyjąłem z niej paczkę papierosów. Piękną i suchą. Łysy spojrzał na mnie z mieszaniną złości i nadziei. Uniosłem brew, bezgłośnie oferując mu poczęstunek. Oblizął suche wargi.

– Nareszcie. – Wyrwało mu się, gdy niecałą minutę później zaciągnął się dymem. – Dzięki.

– Drobiazg.

Schowałem paczkę do torby. Spojrzał na mnie pytająco.

– Nie palisz?

– Nie.

– To skąd szlugi?

– Moja ciocia i babcia palą. Czasem dla nich szmugluję papierosy, bo moja mama nie lubi palaczy i ogranicza dostęp do tytoniu.

– Mm – podsumował i spojrzał w bok. Dalej zaciągał, ale teraz świat już nie wyglądał jak za mgłą. W oddali się przejaśniało, a więc istniała nadzieja, że wkrótce oberwanie chmury się skończy.

Jeszcze raz przejechałem wzrokiem po nieznajomym. Łysa głowa naprawdę wyglądała jak u żołnierza, przygotowującego się na wojnę. Nawet wolałbym sobie nie wyobrazić co by się działo w domu, gdybym wrócił ze zgoloną głową. Wszystkie panie kochały moje włosy.

– Znów się gapisz.



– To mój konik. Lubię używać wzroku – odpowiedziałem. Moją złośliwą uwagę zignorował. – Ale skoro ci to przeszkadza... – dodałem, spoglądając gdzieś indziej. Prawdę mówiąc próbowałem określić jego aurę. Każdy człowiek jakąś posiadał, a ja, jako szeptun na poziomie podstawowym ćwiczyłem jej odnajdowanie i badanie. Jednak, aby zobaczyć czyjąś aurę, trzeba było się tej osobie patrzeć przez kilka sekund prosto w oczy. Nawet woląłem nie myśleć jak bardzo bym dostał po głowie, gdybym nagle zaczął patrzeć łysemu głęboko w oczy w serenadzie deszczu.

– Spóźnię się – warknął, patrząc na zegarek. – Cholera, nie daruje mi...!

– Ten ktoś nie będzie na ciebie zły. Na pewno zrozumie powód spóźnienia – spróbowałem go pocieszyć. O dziwo moje słowa musiały go uspokoić. Zaciągnął się po raz ostatni i wystrzelił w podróż na trawę. Niedopałek przeleciał po pięknym łuku i wylądował daleko od najbliższej śmietniczki. – Przechodzi – dodałem uspokajająco.

Rzeczywiście, oberwanie chmury się skończyło tak nagle, jak się zaczęło. Ciemna warstwa obłoków popłynęła dalej w kierunku południa, zostawiając za sobą przyjemny zapach i mokre chodniki. Nabrałem głęboko powietrza.

– Nareszcie – warknął tamten. Wyskoczył spod altanki, mimo że dalej kropiło. – Dzięki za szluga. Kiedyś się odwdzięczę!

– Naprawdę?

– Dotrzymuję słowa – zapewnił, patrząc jeszcze raz na zegarek. – Trzymaj się.

Nie czekając na moją odpowiedź, pobiegł przed siebie, znikając wśród drzew. Cmoknąłem niezadowolony. Jednak nie udało mi się dostrzec jego aury. A więc będę musiał ćwiczyć na ludziach w autobusie, przyprawiając ich o dreszcze.

\*\*\*

– Czy to boli? – zapytałem, gdy pomagałem siostrze zmywać naczynia. Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Nie! Oczywiście, że nie. Powiedziałabym, że... robi się zimno. – Chociaż Maja użyła tego określenia, to jednak nie była pewna, czy to dokładnie oddaje stan rzeczy. – Wiesz, duchy i te sprawy. Przychodzą popatrzeć.

- Nie stresuj się! – dodała głośno ciocia Iza. Obejrzałem się przez ramię. Cztery panie właśnie siedziały przy stoliku i grały w brydża, używając starej i powycieranej talii kart, która pamiętała jeszcze czasy, w których babcia umawiała się z dziadkiem.

Lubiłem te normalne wieczory, gdy do żadnej z ciotek, babci lub mamy nie przychodził klient. Pacjenci zwykli przychodzić do nas pod osłoną nocy lub wcześniej rano, bo odwiedzanie domu „dziwaków” mogło być źle odebrane. Chociaż oficjalnie nikt nie wierzył w nasze moce, to nie zabrakło nigdy chętnych, którzy w ostateczności zwracali się do nas.

Tak jest. Gdy zawodziły leki, lekarze i współczesna medycyna, ludzie dopiero wtedy przychodzili do nas. Do szeptuch, które miały moce uzdrowicielskie. Wiara w nas rosła równomiernie z traceniem jej w to, co było znane powszechnie. Wielu się nas bało. Wielu też kazało nam się stąd wynosić za praktykowanie diabelskich czarów. Udowadniali tym samym, jak mało wiedzieli o naszej małej społeczności.

Nie trzeba było długo czekać, aby dowiedzieć się, że różnimy się od czarowników, a nasze działania miały mały związek z czarami. Przede wszystkim dlatego, że żadne z nas nie było potomkiem elfów. To one ofiarowały moc, związaną z żywiołami. W krwi szeptuch ciężko było doszukać się czegoś elfiego.

Mieszkańcy tego domu to szeptuchy. Nasza moc była darem przekazywanym z pokolenia na pokolenie. Niektórzy twierdzili, że nasze moce pochodzą od samego Boga. Uznawałem, że to dar, który otrzymaliśmy już dawno temu i musimy go zachować, aby pomagać ludziom. Mieliśmy taką wewnętrzną potrzebę, dlatego nigdy nie odwracaliśmy się od tych, którzy potrzebowali wsparcia. Zwłaszcza, że przychodziły do nas osoby, dla których mogliśmy być ostatnią nadzieją.

Ja jeszcze nie byłem szeptunem w pełni uprawnionym do leczenia innych. Moje zadanie polegało na pobieraniu nauk od wszystkich pań w tym domu. Jednak dobiegało ono końca, bowiem niedługo miałem zostać pełnoprawnym szeptunem, do którego będą mogli się zgłaszać pacjenci. Będę ich leczył i pomagał we wszelkich schorzeniach.

W pierwszą równonoc po moich osiemnastych urodzinach miałem stać się szeptunem. Data ta wypadła na noc między dwudziestym pierwszym a dwudziestym drugim marca.

– Dasz radę – zapewniała mnie siostra. Najwidoczniej zapomniała o porannych planach morderstwa. Na szczęście potrafiliśmy sobie szybko wybaczać wszelkie złośliwości.  
– To nic trudnego.

– Maja ma rację – zapewniła babcia Katja. – Najważniejsze to nie denerwować się czymś, co i tak się ma stać. Niektóre rzeczy są nieuniknione i są naszym przeznaczeniem. By oszczędzić sobie stresu, trzeba się z nimi pogodzić.

– Łatwo wam mówić. Kobiety od zawsze składają tę przysięgę. Ja zaczynam jako wybryk.

– Kochanie – przemówiła moja mama, kładąc kartę na stole. Pozostałe kobiety prychnęły i odrzuciły swoje. Elżbieta znów wygrała robra. Miała niebywale szczęście. – Inny nie znaczy gorszy.

## 2. Równonoc

Zimny księżyc, zbliżając się do pełni, świecił na niebie, dając świetną widoczność. Obserwowałem go z mojego okna i czekałem. Jego blask cudem przebijał się przez brud na szybie i oświetlał mój pokój. Nie zapaliłem lampy. Czekałem.

To nie był mój pierwszy rytuał. Styczność z nimi miałem już od siódmego roku życia, gdy obchodziliśmy (po raz pierwszy od bardzo dawna w rodzinie) postrzyżyny. Według tradycji młodzi chłopcy, którzy kończyli siedem lat mieli ściąć włosy i spod opieki matki iść pod opiekę ojca.

Jednak na drodze pojawił się problem.

Nasz, mój i Mai, ojciec zmarł kiedy byliśmy dziećmi. Ja go w ogóle nie pamiętałem i zazdrościłem nieco siostrze, która „jak przez mgłę” pamiętała jego uśmiech ukryty pod „sumiastymi wąsiskami”. Dla mnie postać ojca była jedynie cieniem, cichym szeptem z przeszłości. Kimś był, ale nie wiedziałem kim. Kiedyś żył, ale nie wiedziałem jak.

Jego brak odczułem w trakcie postrzyżyn. Wtedy spod opieki matki przeszedłem, a właściwie wróciłem, pod opiekę matki. Babcia ściła moje włosy i przez jakiś czas przypominałem wojskowego kadeta spod altanki.

Włosy spalono, a ja wpatrywałem się w ogień, który powoli zamieniał część mnie w nic nie wartą kupkę popiołu. Podobno babcia trzyma go gdzieś we flakonach, ale nie zostało mi to nigdy udowodnione.

Niemniej, to było moje pierwsze i prawdziwe obcowanie z mocami szeptuch. Trzy ciotki, mama i babcia stały wokół ognia i dyskutowały zawzięcie o braku męskiego przodka. Moja mama patrzyła wtedy na mnie ze smutkiem w oczach. Nie wiedziałem co go powodowało, bo jeżeli myślała, że tęskniłem za tatą wcale tak nie było.

Mój ojciec zmarł, gdy miałem trzy latka. Maja miała pięć.

Wraz z wiekiem zapominałem o ognisku i ściętych włosach, które szybko odrosły. Jednak jakiś mądry człowiek na ziemi, zakładam że mądrzejszy ode mnie, ustanowił że wiek siedmiu lat to idealny okres, aby iść do szkoły i zacząć się uczyć.

Moje urodziny wypadają w styczniu, a więc miałem kilka miesięcy do rozpoczęcia szkoły podstawowej. W tym czasie zacząłem poznawać podstawy bycia szeptunem.

Już jako dzieciak zauważyłem, że do moich ciotek, babci i mamy przychodzili ludzie, którzy płakali, jęczeli i narzekali. Bywało, że czasem przychodziły nawet całe rodziny.

Najczęściej ich wizyty zaczynały się wcześnie rano lub późno w nocy. I wszyscy oczekiwali jednego – pomocy.

Zrozumiałem, że moja rodzina to ostatnia deska ratunku dla wielu tych nieszczęśników. Odkąd pamiętałem, w szkołach szybko roznosiły się wieści o specyficznym zawodzie moich krewnych. Zarówno ja i Maja obrywaliśmy za to rykoszetem, czasem nawet od nauczycieli. Zwłaszcza tych od religii.

My byliśmy poganami, tak o nas mówiono, choć wierzyłem w Boga. W tego samego co oni. Chodziłem do tego samego kościoła co oni i wielbiłem te same dary co oni. Klękałem przed krzyżem, adorowałem jego wspaniałość i nigdy się tego nie wstydziłem. Pościłem i chodziłem do kościoła na rekolekcje czy Pasterkę. Spowiadałem się ze swoich grzechów, przyjmowałem ciało Chrystusa, celebrowałem Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Pamiętałem jak podekscytowany rozglądałem się po wnętrzu zimnego kościoła, gdy ksiądz zapowiedział, że „przyjdzie do nas Jezus”. Miałem do niego tyle pytań. Zastanawiałem się nieraz co by zrobił mnie i mojej rodzinie. Czy byłby na nas zły za to co robimy czy rozumiałby naszą empatię? Co było dla niego ważniejsze?

Niestety, okazało się, że „nadejście Jezusa” było jedynie metaforą pod postacią opłatka. Z tego co mi wiadomo, następnym razem, gdy przyjdzie Syn Boży to na Ziemi wcale nie będzie tak wesoło, bo będzie sędzić żywych i umarłych.

Bąłem się Boga bardziej niż cegokolwiek na świecie.

Pogodzenie bycia szeptunem, synem „wiedźmy” z życiem normalnego dzieciaka wcale nie było łatwe. Okazało się, że obowiązki szkolne połączone z obowiązkami bycia szeptunem nakładały się i bywały dni, gdy nie miałem przerwy na zabawę.

Moja mama, mimo buntów (moich i siostry), upierała się, abyśmy byli wykształceni nie tylko w materii starych, słowiańskich rytuałów, ale abyśmy posiadali wiedzę ogólnokształcącą. Powiedziała, że „najpierw matury, a potem zrobicie co zechcecie”. O dziwo, dotrzymała słowa.

Wraz z wiekiem moje podejście do nauki wyglądało jak wdzięczna sinusoida. Na początku byłem podekscytowany i zbieranie w sierpniu porannej rosy tuż po nocy spadających gwiazd było ekstra zabawą, zwłaszcza że ciotka tłumaczyła mi, że zbieramy tę rosę, gdyż ma szczególne właściwości.

– Łzy świętego Wawrzyńca – mówiła ciocia Urszula. – Nadają się idealnie na opatrunki na oparzenia.

Mniej więcej w okolicach gimnazjum, gdy wybuch hormonów kazał mi być niezadowolonym ze wszystkiego (a koledzy z klasy bardzo lubili uprzykrzać mi życie), zbieranie jarzębiny, miodu, orzechów czy jabłek, bez względu jak wspaniałe miały właściwości lecznicze i jak smaczne ciasta z nich wychodziły (poza jarzębinami), wydawało się być głupie i bezproduktywne.

Większą frajdą było pomaganie babci w robieniu nalewek z wiśni, sosny lub dzikiej róży. Zawsze w trzech, wielkich butlach, zamykała składniki i pozwalała im się fermentować przez tak długi czas, aż osiągnęły odpowiednią moc. Czasami siedziałem na strychu i patrzyłem w butle, z których co jakiś czas wypływał bąbelek powietrza.

Mój ostatni rytuał jako „nie-szeptun” miał odbyć się właśnie tej nocy. Nie należała do szczególnie wyjątkowych i nie różniła się od pozostałych.

Drgnąłem, słysząc skrzypienie na schodach.

Doczekałem się.

Ktoś zapukał do moich drzwi.

– Jan? – Usłyszałem moją siostrę. – Mogę wejść?

– Jasne.

Do środka weszła po cichu jakby bała się, że zaraz mnie spłoszy. Miała włosy równie jasne co moje, teraz spięte z tyłu głowy. Na sobie miała ciepłe ubranie, była gotowa do drogi. Choć ostatnie dni były w miarę przyjemne to noce robiły się zimne, a czasem mroźne.

– Brat.

– Siostra.

Skinęliśmy ku sobie głowami.

– Jak się czujesz? – zapytała. Zamknęła za sobą drzwi.

– Dokładnie tak samo jak podczas ostatniej przysięgi w równonoc, która awansuje mnie do roli szeptana, stawiając przede mną wyzwania i obowiązki, którym zwykły osiemnastolatek nie podola.

Maja pokręciła głową.

– Źle do tego podchodzisz, Jan. Jestem szeptunką od dwóch lat i miałam naprawdę niewielu pacjentów. Nie liczę tych, w których przypadkach prosiłam o pomoc mamę lub ciotki. – Dodała, siadając na krańcu mojego łóżka. – To tak jak studia. Też nie mam doświadczenia, dopiero je zdobywam.

– Czemu w ogóle poszłaś na studia? – zapytałem, siadając obok niej. Stare sprężyny w materacu dały o sobie znać i przypomniały, że mogą udźwignąć ograniczony ciężar.

Wzruszyła ramionami, uśmiechając się. Czyli знаła powody, ale nie chciała się nimi podzielić. Nie warto było ciągnąć temat.

– Mama zaprosiła kilku gości – poinformowała. – Jesteś pierwszym mężczyzną w okolicy od bardzo dawna, który zostanie szeptunem. – Szturchnęła mnie. – To wielkie wydarzenie.

– Och, super. Dodatkowa presja.

– Zero presji.

– Będę odpowiedzialny za ludzkie życie.

Maja zamilkła na chwilę.

– Pamiętasz co nam kiedyś mama mówiła o życiu i śmierci? – zapytała w końcu.

Jak mógłbym zapomnieć?

*Życie i śmierć to elementy wszechświata jak ciepło i zimno czy deszcz i słońce. Nie można ich wykluczyć ani przed nimi uciec. Pamiętajcie – ceńcie wszystkie te elementy, ale żadnego się nie bójcie. Śmierć nasza i innych, zarówno jak życie, ma swój cel. Nie możecie zostać niewolnikami strachu przed jednym i drugim.*

*W przyszłości będziecie odpowiedzialni za ludzkie życie, a więc walczycie o nie jak o własne. Dopiero, gdy zrozumiecie, że kochacie własne życie, będziecie w stanie kochać życie innych. I wtedy będziecie prawdziwymi uzdrowicielami. Nie tylko ciała, ale i duszy.*

Słowa te były w mojej głowie jak dzwony. I chociaż próbowałem je sobie wziąć do serca, to słowa „odpowiedzialni za ludzkie życie” wciąż grzmiały najdonośniej.

Tak, lubiłem pomagać innym, ale czy będę w stanie ratować życia?

– Wiem, że zawsze dasz z siebie wszystko, Jan – powiedziała Maja. – Nie będziesz musiał od razu ratować ludzi od śmierci, ale może uratujesz ich przed strachem? – Spojrzała gdzieś w bok. – Według mnie mama chciała nam powiedzieć, że to właśnie strach, a nie życie czy śmierć jest... najstraszniejszy? Ha, ha! Wybacz, nie potrafię tego inaczej ująć.

Nie rozumiałem o co chodzi, ale nie chciałem już rozmawiać na ten temat.

Maja spojrzała na zegarek. Podświetlana tarcza wskazywała jedenastą.

– Chodź. Mam cię zaprowadzić na miejsce.

\*\*\*

Nigdy nie brałem udziału w tym rytuale, mimo że Maja przechodziła przez niego dwa lata temu. I mimo, że osobiście mnie zaprosiła, nie miałem ukończonych osiemnastu lat i nie

mogło mnie tam być. Zostałem wtedy w domu, wyglądając przez okno, gdy one wszystkie się oddalały, krocząc w dół ulicy i skręcając w las.

Samotność w tak ważny wieczór była czymś co pasowało do najmłodszego członka rodziny. Pamiętam, że Maja miała o wiele lepsze warunki pogodowe, bo jej inicjacja przypadała na letnie przesilenie słońca. W czerwcu było już ciepło, nawet jeżeli to była noc. Pierwsze podmuchy lata sprawiły, że szeptuchy siedziały w lesie dłużej niż planowały. A ja w tym czasie oglądałem marny horror o mordercy, który jak się okazało lubił mordować z zemsty.

Gdyby wszedł do mojego domu to już by nie wyszedł. Po pierwsze by się zgubił, a po drugie wszystkie panie skopałyby mu tyłek jakimś magicznym zielskiem, a ja mógłbym siedzieć i to oglądać.

W równonoc wiosenną, szedłem w dół ulicy zaraz za mamą i siostrą. Para z ich ust zdradzała kiedy oddychają. Towarzyszyła też wszystkim słowom jakie do mnie wypowiadały.

Idąc oświetloną ścieżką, między dwoma ścianami ciemności jakie teraz tworzyły drzewa odczuwałem spokój. Dopiero, gdy skręciliśmy w leśną ścieżkę, a moja mama zapaliła starą latarnię, poczułem się nieswojo.

Ten las nie był tym samym, który znałem za dnia. Białe światło księżyca, przedzierało się przez ostre korony drzew, rozrysowując na ziemi ponure cienie. Trzaski gałęzi i lekki szum wiatru nie uspokajały. Niestabilny i wyboisty grunt sprawiał, że potknąłem się o korzeń i prawie wpadłem na siostrę.

Ciemność była elementem wszechświata, którego nieszczególnie lubilem.

– Patrz pod nogi – syknęła Maja, gdy po raz kolejny się potknąłem. – Gdybyś uciekał przed wilkołakiem już by cię dopadł!

– Wilkołaki nie istnieją – odpowiedziałem ponuro. – Prawdo, mamó?

Nie odpowiadała.

– Halo, mamó? Tu Radio Syn FM. Pytanie konkursowe – czy wilkołaki istnieją?

Jej milczenie zakłóciło krakanie z oddali.

– O Bo...! One istnieją?! – Zamrugałem oczami. – Myślałem, że to bajka dla niegrzecznych dzieci. Dlatego ja nigdy jej nie słyszałem, bo byłem wzorem cnót, ale Maja słyszała ją tyle razy i mi powtórzyła...

Siostra prychnęła.

– Nie panikuj, Janie – odpowiedziała mama, nie zwalniając kroku. – Uwierz mi, wilkołaki teraz mają inne problemy z którymi muszą sobie poradzić.

– Jakie? W co jutro się ubrać, gdy już zjedzą człowieka?



– Gdy panikujesz, zaczynasz dużo mówić i przeważnie są to głupoty. – Karcący głos mamy zamknął mi usta. – Żaden wilkołak cię nie zaatakuję.

I chociaż tego nie dopowiedziała, wiedziałem że jej zdanie kończyło się „bo ja tu jestem”.

Nasz marsz przez las trwał już kilkanaście minut. Straciłem rachubę czasu, gdy mijaliśmy setne, ciemne i chłodne drzewo. Robiło się coraz ciszej i jednocześnie coraz cieplej. Pozwoliłem sobie nawet na rozpięcie kurtki.

Błysk światła był jak ratunek latarni morskiej dla marynarzy. Jego źródłem było ognisko, które z początku wyglądało na małe, ale w miarę jak się do niego zbliżaliśmy, zdałem sobie sprawę, że płomień dorównuje niektórym drzewom.

Zapach dymu przemógł silny aromat mokrych liści i gleby, który towarzyszył nam od wejścia do lasu. Ciemność załamała się, a ja poczułem się bezpieczniej. Ciepło przyjemnie objęło moje ciało, gdy tylko znaleźliśmy się na odsłoniętej i szerokiej polanie.

Nie wiedziałem o istnieniu tego miejsca, choć lasy obchodziłem wiele razy od wielu lat. Oczywiście, mogło być tak, że kiedyś tędy przechodziłem, ale uznałem to miejsce za zwykły kawałek lasu.

Jeżeli tak zrobiłem, to mogę nazwać się głupcem, bo kto by przegapił cztery, podejrzanie symetrycznie rozstawione skały, a wszystkie skierowane w stronę paleniska. Otoczone ono było przez ubrudzone czarną sadzą, okrągłe kamienie.

– Co to za miejsce? – zapytałem.

– Dawno temu stał tu kościół, który spłonął – wyjaśniła cicho Maja. – To święta ziemia, ukryta dzięki umiejętnościom naszej mamy i ciotek. Po ceremonii wyjaśnią ci jak zdjąć czar chroniący to miejsce.

– Kościół w środku lasu? – zapytałem.

– Jesteśmy już na jego obrzeżach – wtrąciła mama. – Pamiętajcie, że to najbezpieczniejsze miejsce w całym lesie. Jeżeli cokolwiek będzie wam zagrażać, skierujcie się tutaj. Ach, już są – powiedziała nagle.

Nieważne jak wyteżalem wzrok, nie mogłem zobaczyć szczegółów okolicy. Za to dostrzegłem grupę ludzi ukrytą między cieniami, a falującym światłem ognia. Obserwowali mnie, choć nie wszystkie pary oczu mogłem dostrzec. Czulem ich spojrzenie na sobie.

Moja mama rzeczywiście zaprosiła jeszcze kilku gości.

– Nie ma jej? – Mama rozejrzała się po gościach. Kiwała wszystkim głową na powitanie.

– Kogo?

– Nie przejmuj się – odpowiedziała, uśmiechając się ciepło. Ten gest zdradził wiek osoby, która od dawna nie miała powodu, by szczerze się uśmiechnąć, zajęta pracą, domem i obowiązkami. – Maja. Idź proszę do swoich ciotek i powiedz, że możemy zaczynać.

Siostra skinęła głową i przytuliła mnie. Jej włosy pachniały mieszaniną ziół i farby. Odeszła w kierunku dwóch figur, które poznałbym nawet w największych mrokach. Jej miejsce zajęła babcia Katja.

Ona również się uśmiechnęła, a cienie wryły się w jej zmarszczki, pogłębiając je.

– Nie denerwuj się. Ćwiczyliśmy to.

Skinąłem głową. Ściągnąłem z siebie kurtkę, czapkę i szalik. Podałem je babci, która patrzyła na mnie ze łzami w oczach. Te dowody dumy skrzyły się w blasku ognia jak diamenty.

Skrepowanie narastało wraz ze świadomością, że nikt nic nie mówił. Jedynie trzask wystrzeliwujących ku niebu iskier mącił tę cudowną ciszę.

Z wielką niechęcią ściągnąłem obuwie i skarpetki. Chłód ziemi zapiekł mnie w stopy. Trawa nieprzyjemnie łaskotała i wsuwała się między palce.

Wzięłem głębszy oddech i spojrzałem na ogień. Jego blask sprawił, że zmrużyłem oczy. Przeniosłem spojrzenie na skały na których tańczyło światło do nocnej muzyki lasu.

– Jestem gotowy – powiedziałem bardziej piskliwym głosem niż zamierzałem.

Wypuściłem powietrze z płuc i odnosiłem wrażenie, że słyszałem jego pogłos.

Jakby na ten znak czekał cały wszechświat. Las zaszumiał, ogień wystrzelił do góry, a kamienie zaśniły. Złożyłem ręce jak do modlitwy i zamknąłem oczy.

Jest różnica między białą a czarną magią, powtarzała moja babcia. Biała pochodzi od samego Boga i jest wyjątkowym, niepowtarzalnym darem. Nie jesteśmy czarownikami. Jesteśmy szpachtami w służbie ludzkości. Nasze wysiłki byłyby niczym bez Boga.

– Synu – powiedziała moja mama. Jej głos zdawał się dobiegać z daleko, mimo że stała tuż za mną. – Zostałeś wybrany na kolejnego szeptuna. Czy chcesz nim zostać?

– Tak, chcę.

– Czy przyrzekasz służyć Bogu i jego poddanym, wielbiąc go i spełniając swoje obowiązki?

– Tak, przyrzekam.

– Czy przyrzekasz wykorzystywać swój dar jedynie do czynienia dobra?

– Tak, przyrzekam.

– Czy wyrzekasz się wszystkiego co złe i wszystkich grzechów, które do tej pory uczyniłeś?

– Tak, wyrzekam się.

– Od tej pory, w służbie dobra będziesz leczył chorych, wspierał żywych i dbał o pamięć zmarłych. Stajesz się przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Przyrzekłeś to przed samym Bogiem, który przyjdzie sądzić nasze dusze. Czy obiecujesz dotrzymać danego słowa?

– Tak, obiecuję.

– Od tej pory stałeś się szeptunem, uzdrowicielem. Pamiętaj o swojej przysiędze i pamiętaj, że jeszcze dużo nauki przed tobą. Twoja obietnica jest obietnicą na całe życie.

Spodziewałem się przynajmniej oklasków, ale nawet nic takiego się nie wydarzyło. Noc dalej trwała, nie czułem się inaczej, poza tym że zrobiło mi się zimno i mrowiło mnie w środku. Maja wspominała, że to przez obecność duchów.

Wszechświat istniał dalej jakby nawet nie zauważył inicjacji nowego szeptuna. Może coś poszło nie tak?

Obejrzałem się przez ramię w stronę mamy. Wyglądała na zadowoloną, a więc nic złego się nie stało. Chlipanie wzruszonej babki było kolejnym dowodem udanego procesu mojego przejścia. Wiedziałem, że jeszcze jestem młody, ale przynajmniej mogłem już zacząć pomagać.

Następnie odmówiliśmy kilka modlitw i czułem się coraz spokojniejszy. Stres zniknął, pojawiała się ulga. Oczywiście, dalej się bałem tego co miało nadjeść, ale na dobrą sprawę miałem kilka szeptuch do pomocy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała moja mama, jakby czytała w moich myślach. Następnie podała mi gliniany kubeczek z gęstym, złotym płynem.

– Miód! – wykrzyknąłem zaskoczony. Uwielbiałem miód.

– Jestem z ciebie dumna, Janu... – zaczęła, ale dostrzegła moje ostrzegawcze spojrzenie. – Naprawdę? Nawet teraz?

– Tak. – Pokiwałem głową.

Westchnęła lekko, poddając się.

– Dzisiaj świętuj. Zapomnij o troskach.

Przytuliliśmy się. Choć byliśmy rodzinni i bardzo z sobą zżyci, mało kiedy pozwalaliśmy sobie na takie czułości. Były jednak wydarzenia, w których wyrażenie emocji było wskazane. Próbowałem ją zrozumieć.

Dla mnie to był kolejny etap życia. Porównywalny do nowej szkoły lub rozpoczęcia pracy. W oczach mamy widziałem mijający czas i tęsknotę za czymś, czego już nie mogła odzyskać. Przeszłość już miała do nas nie wrócić.

– Kocham cię – szepnąłem.

– Wiem – odpowiedziała równie cicho. – Ja ciebie też kocham.

I to był pierwszy rodzaj miłości jaki było mi dane poznać. Miłość matki do swojego dziecka.

\*\*\*

Gdy już się od siebie z mamą odsunęliśmy, aby się nie rozkleić (łzy w oczach? Maja, przecież stoję tu boso! Tęsknię za ciepłem i w ogóle...!), to babcia wzięła mnie pod swoje skrzydło i prowadziła do każdego gościa, aby przeprowadzić z nim uprzejmą rozmowę.

Kurtuazja wśród szeptuch była czymś przesadnie celebrowanym. To było jak spotkanie dalszych członków rodziny, których nie do końca się kojarzyło, ale musiało się uśmiechać i udawać, że stryjeczna ciotka od strony kuzynki szwagra matki prababki, znana również jako piąta woda po kisielu, była kimś kogo widywało się prawie codziennie.

Podobnie czułem się teraz. Niektóre osoby kojarzyłem, w tym naszego zielarza, pana Ziółko, który chwalił się przesadnie swoim nowym pracownikiem, ale szybko o nim zapomniał, gdy pojawiła się moja mama i rozpoczął tyradę na temat ziół. Znałem też starszą szeptuchę z Choroszczycy, która nie miała tyle szczęścia co babcia Katja i cała jej rodzina rozjechała się po Polsce, odrzucając dar uzdrawiania.

– A gdzie jest Jordan? – zapytała żona białostockiego guślarza, wysoka kobieta o kościstej twarzy i ziemistej cerze. – Czyżby zignorował tak ważne wydarzenie?

– Jestem pewna, że był bardzo zajęty – odpowiedziała uprzejmie ciocia Agnieszka swoim cichym głosem.

– Zajęty, phi! Na pewno! – pokręciła głową. – Pewnie uważa, że to poniżej jego czarodziejskiej godności, aby celebrować inicjację na nowego szeptuna.

– Kim jest Jordan? – zapytałem zaintrygowany.

– Już ci mówię kim jest Jordan! To nadęty, bufoniasty...!

– Kochanie – przerwał jej guślarz. – Nie przeżywaj tak tego. Dobrze znamy nastawienie Jordana do... no... nas. – Zmarszczył czoło, widząc zdenerwowane spojrzenie żony. – Jordan Holz jest Sorcerem Białegostoku. I jest jednym z tych czarowników, którzy uważają, że to właśnie czarownicy i czarownice korzystają z prawdziwej magii, stawiając ich na piedestale.

– A to bzdura, bo wiemy, że bez pomocy guślarza nawet Jordan Holz nie przywołałby ducha! – Kobieta spojrzała czule na męża. – Prawda, skowronku?

– Prawda, sówko.

Zrobiło się bardziej słodko niż miód, który piłem. Ruszyłem z babcią dalej, aby porozmawiać z innymi gośćmi.

Podeszliśmy do chudej kobiety, jeszcze chudszej niż ciocia Agnieszka. Rozglądała się nerwowo i co jakiś czas podskakiwała i oglądała się za siebie, przy okazji wylewając zawartość swojego glinianego kubeczka.

– Marzanna... Marzanna... Dlaczego ją topią? Nie wiedzą, że jej się to nie podoba...?

– szeptała do siebie. – Ach! Śmierotka, Śmiercicha...

– Jan, poznaj proszę Justynę, naszą ekspertkę od demonologii – przedstawiła mi ją babcia, ale kobieta chyba tego nie usłyszała, bo wciąż oglądała się przez ramię.

– Dobry wieczór – skinąłem głową.

– Ach! – Podskoczyła i spojrzała na mnie. Miała załzawione oczy. – Szeptun! Jest nadzieja, dzięki Bogu!

– Ee...

– Posłuchaj, chłopcze – mówiła cicho. – Tutaj się roi od demonów... Marzanna, wczoraj ją wszyscy topili? Dlaczego oni to robią? Te wszystkie kukły tylko ją prowokują...!

Niepewnie spojrzałem na babcię, a ona odchrząknęła.

– Justynko, kochana, może zechcesz wypić odrobinę uspokajających ziółek? Jestem pewna, że Eugeniusz ma odrobinę przy sobie.

– Tak, tak. Ziółka. Tak. – Pokiwała gorliwie głową i oddaliła się od nas, idąc w dziwny, kaczkowy sposób.

Wymieniłem z babcią spojrzenia, a ona pokręciła głową.

– Kiedyś była wybitną panią profesor – powiedziała cicho. – ale widziała rzeczy, których lepiej w życiu nie widzieć. Ale nie ma lepszej ekspertki jeżeli chodzi o demony i ich zwalczanie, uwierz mi.

Pokiwałem głową i posłałem ostatnie spojrzenie Justynie, która teraz zagapiła się w ogień i wyglądała na taką co rozważa szybką ucieczkę.

Kolejne osoby były mi kompletnie obce jak chociażby kobieta, która była „przyjaciółką” rodziny i opowiadała o tym jak mały byłem, a teraz jestem taki duży i takie mam ładne oczy, i buźkę i blond włosy, ale i tak mnie pamięta jako małego szkraba i och, czego to ona o mnie nie wiedziała.

Poznałem też starszego pana Oktawiana, astronoma, który co jakiś czas patrzył w niebo i kręcił głową. Z jego słów wynikało, że nie podobają mu się ułożenie gwiazd.

– Ale aż siedem? – rzucił pytanie w przestrzeń. – Dobry Boże. Aż siedem diabłów...?

Ponieważ byłem dobrze wychowany, słuchałem wszystkich gości, przyjmowałem gratulacje i prowadziłem krótką rozmowę w blasku ognia, popijając miód. Nie przeczę, łechtali moje ego komplementami.

– Szeptuni, w sensie mężczyźni, mają większą moc – mówiła jedna z kobiet. Chyba była znajomą cioci Izy. – Dlatego rodzą się tak rzadko i są wyjątkowi.

Biorąc pod uwagę moje życiowe doświadczenie mężczyźni rzadko kiedy okazywali się być „silniejsi” od kobiet. Mieszkałem z piątką i nigdy żadnej nie nazwałbym słabszą ode mnie. Ale nie chciałem wchodzić w dyskusje.

– Dobrze, Genowefo. – Moja babcia przerwała długi wykład na temat magicznych właściwości bursztynu. – Jeszcze przyjdzie czas na naukę – dodała, łapiąc mnie pod ramię – Spotkamy się jakoś na kawę i ciasteczko?

– Och, oczywiście! Upiekę serniczek!

– To jesteśmy umówione. – Odciągnęła mnie od znajomej i dodała szeptem. – Sto złotych, że nie zobaczę tej kobiety przez dekadę.

– Przyjmuję zakład.

Babcia zachichotała pod nosem.

Po chwili spoważniała i poprowadziła mnie nieco dalej od ogniska. Zastanawiałem się o co może chodzić, gdy za jednym z głazów dostrzegłem okrągłą i zgarbioną postać. Kryła się w cieniu, z dala od ognia i innych gości. Mogłem uznać ją za element tła.

Stara kobieta z chustą na głowie miała w sobie coś przerażająco mistycznego i odległego. Chociaż duże, niebieskie oczy miała skierowane w naszą stronę, to odnosiło się wrażenie, że patrzy nie „na” a „przez” osobę. Ona widziała coś więcej. Kogoś jeszcze. Chłód powrócił.

Powstrzymałem silną ochotę, aby obejrzeć się przez ramię.

– Janie – zaczęła moja babcia. – To szeptucha z Orli.

Nabrałem powietrza i ścisnąłem gliniany kubek nieco mocniej.

Teraz zrozumiałem czemu uznałem ją za tak odległą. Prawdopodobnie była sama w sobie legendą, a człowiek w swoim szarym życiu nie sądzi, że spotka legendę. Prawdziwą, namacalną. Przerażająco blisko, bezlitośnie realną.

Babcia, ciotki i mama często o niej wspominały. Bezimienna szeptucha z Orli, która mieszka tam od wielu lat (niektórzy twierdzili, że od czasów wojny światowej – spierali się tylko czy chodziło o Pierwszą czy Drugą). Najprawdopodobniej najpotężniejsza ze wszystkich, ciesząca się niewysłowionym szacunkiem. To do niej lgnęli ludzie z całego kraju.

To do niej odsyłały wszystkie szeptuchy, gdy już nie mogły nic zrobić. Była królową starości i najmądrzejszą osobą z jaką przyszło stykać się ludziom.

Swego czasu fascynowałem się nią. Dlaczego nie posiadała imienia? Jak długo żyła? Czemu jej całe życie było tajemnicą?

I oto stała przede mną. Niższa o głowę, zgarbiona, niepozorna, pomarszczona i milcząca. Drżała ze starości lub z zimna. Kilka razy otwierała usta i zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale w ostatnim momencie się powstrzymywała.

– Dobry wieczór – wypaliłem w końcu, przypominając sobie, że od kilku chwil nic nie mówię.

Staruszka dopiero po chwili pokiwała głową.

– Dlaczego nie korzystasz ze swojego pełnego imienia? – zapytała. Jej głos brzmiał jak echo. Najpierw dźwięk odbił się od czegoś i dopiero dotarł do moich uszu.

– Ja... – zacząłem, ale przerwała mi.

– Musisz być sobą, aby rozumieć innych.

– Kiedy ja...

– Zbliź się.

Zawahałem się. Zerknąłem na babcię, a ona skinęła głową. Zbliżając się do szeptuchy czułem jeszcze większy chłód. Stałem przed nią nieco skrzepowany. Zbadała mnie wzrokiem, który badał już tysiące ciał, dusz i serc. To była wprawa, o której mogłem jedynie marzyć.

Niespodziewanie uderzyła mnie pod żebrem z siłą o jaką bym nie posądzał kobiety, która rzekomo miała ponad sto lat. Zgiąłem się, a z ust wyrwał mi się dźwięk zaskoczenia.

Pokiwała głową i ujęła moją twarz w swoje pomarszczone dłonie, suche jak pergamin, drżące, ale pewne tego co robiły. Pociągnęła mnie w dół, aby spojrzeć mi prosto w oczy.

Nie wiedziałem co w nich zobaczyła i co odczytała, bo jej wyraz twarzy się nie zmieniał. Przełknąłem ślinę, czekając na jakiś werdykt, ale milczała.

Sięgnęła jedną dłonią do kieszeni, z której wyjęła mniszek lekarski. Nie miałem pojęcia skąd go wytrzasnęła o tej porze roku, ale nie zdążyłem zadać tego pytania, bo zdmuchnęła owoce wprost na moją twarz. Zamknąłem oczy, gdy biały pyłek delikatnie musnął moje policzki.

Gdy uchyliłem powieki, szeptucha stała już metr ode mnie. Jakby w ogóle się nie poruszyła przez ostatnią minutę.

Przetarłem dłonią swoją twarz, aby pozbyć się pozostałości po mniszku. Nie wiedziałem co się właśnie stało i liczyłem na jakieś wyjaśnienia. Nim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, ona mi przerwała.

– Jeżeli kiedykolwiek się zgubisz, pomódl się do świętego Antoniego. Pamiętaj, że lichy nie śpi i zawsze na nas czyha. Nie daj się zwieść złudzeniom, każdy z nas ma w sobie uczucia, niezależnie kim się jest. I miód ci zaraz kapnie na spodnie.

Zmarszczyłem czoło.

– Proszę?

Wskazała na moją rękę w której trzymałem gliniany kubek. Przechylony na tyle, że złoty płyn spływał na moje jeansy i bosc stopy.

– A niech to...!

\*\*\*

– Zaczynam już zasypiać – oznajmiła Maja, siadając obok mnie. Jakiś czas temu ubrałem się na nowo, bo po radach Bezimiennej zrobiło mi się jeszcze zimniej. Usiadłem przy ognisku, ale wciąż myślałem nad jej słowami. Gdy szeptucha zakończyła, babcia powiedziała mi, że na „dobry początek” Bezimienna daje zawsze trzy rady-zagadki. Dopiero po tym poinformowano mnie, że jest też jasnowidzką, czego mogłem się w sumie domyślić. – Braciszku, słuchasz mnie?

– Ach! Tak.

Spojrzałem na nią, położyła głowę na moim ramieniu.

– Zmęczona? – zapytałem z uśmiechem.

– Mm – odpowiedziała cicho. – Może już zakończysz swoją imprezę?

– Moją imprezę? Odniosłem wrażenie, że z uroczystości inicjacji nowego szeptuna gładko przeszliśmy do potężnego kręgu plotkarskiego.

– U mnie zrobiły to samo – powiedziała, tłumiąc ziewnięcie. Im bardziej zmęczona była tym bardziej do jej mowy wkradał się wschodni akcent, którym zawsze operowała nasza babcia. – Wciąż pijesz miód?

– Nie wiem kto ten miód tu przyniósł, ale jest przepyszny.

– Podobno pan Ziółko – powiedziała Maja, po czym się poddała. Ziewnęła, zasłaniając dłonią usta. – Jak się czujesz? Stres minął?

– Tak. – Pokiwałem głową. – Chociaż... – Spojrzałem na Maję, która już miała zamknięte oczy. – Czy tobie również Bezimienna powiedziała coś na temat przyszłości?



– Mhm.

– Sprawdziło się?

– To raczej były rady niż przepowiednia... Ale to i tak miłe z jej strony – dodała cicho. – Powiedziała, że się zakocham...

A potem Maja zamilkła i słyszałem tylko jej miarowy oddech. Spojrzałem w tańczący płomień ogniska i rozmyślałem nad słowami Bezimiennej. Według mnie nie miały związku z byciem szeptunem.